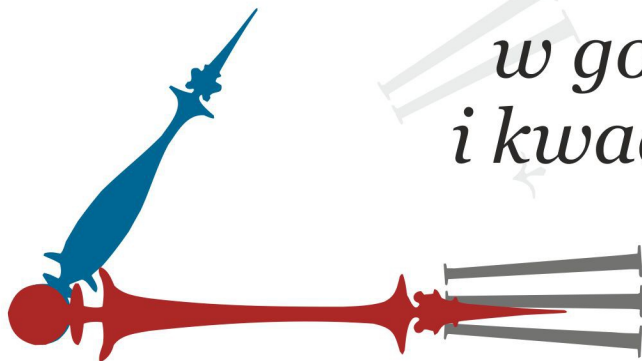


XVII

dramaty
Jerzego

Szaniawskiego

*w godzinę
i kwadrans*



Robert
Żebrowski

III

rysunki
Błażej Małczyński

DZIEWCZYNA Z LASU

Biegnę ku ciemnej ścianie lasu po ubitym wiejskim śniegu. Za mną upaja się własną wspaniałością drobny dworek mojego narzeczonego, co właśnie mi się publicznie oświadczył. Tłum i zgiełk. Uroczne typy umierającej klasy. Nachalna żydowska muzyka jak w dawnych zajazdach. Zostawiam światło i dźwięki za sobą. Nie oglądam się. Pamiętam żonę Lota – a ja nie chcę zniknąć, chcę tylko uciec. Nie wiem dokąd, nie wiem do kogo, więc biegnę ku lasowi, skoro on nie chciał przyjść do mnie. Wbiegam w ścianę drzew i nagle w głowie wybucha mi jakaś dzika muzyka, którą ktoś wytworzy pewnie za kilkadziesiąt lub kilkaset lat: Idziemy przez las, idziemy przez las, pijani od słów. Siekiera dźwięku. Na horyzoncie Nowa Aleksandria. Nie wiem, co to znaczy, ale zamiast biec, zaczynam iść.

Idę przez las. Przez las zawsze chodziłam donikąd, dopóki nie spotkałam Olka. Kolejny cios siekierą. Przyjmuję – tak jak jego przyjął wtedy w siebie, młódka, córka gajowego, co bliżej zwykle był chłopów niż szlachty, do której należy mój luby, porzucony przed chwilą hrabia z niewydarzonego dworku. Olek teraz zdycha pod czujnym okiem wiejskiego konowała, Olek kłusownik, mój pierwszy, ten, co jego pień poczułam jak ból i jak radość, tu w lesie. Nie wiem, czy się kochaliśmy. On mówił, że tak. Mówił, że do miłości jestem stworzona. Taka to była gówniarska miłość kilkunastolatków – moja dziupla, jego drągowina, moje usta, jego usta. I las wokoło, taki jak teraz. W tym całym bałaganie, jaki mam w głowie, tylko las się nie zmienia.

Już nie będzie porządku. W mojej głowie już nie będzie porządku. Pierwszy raz czuję to tak mocno, tak przystępnie, tak jasno. Idę

i myślą za mnie drzewa. Sosna. Prosta, w towarzystwie innych prosta z przymusu. To mój narzeczony, Wielorzecki. Z hrabiów wyrósł, i z nich zmałał, kiedy spalili mu w wojnę rodzinny dworek. Odtworzył z dworku coś, co było tylko ratunkową łodzią, sypialnią i kancelarią w jednym, no i jeszcze jadalnią, w której ja mu ostatnio obiady podawałam. Długie było to ciche narzeczeństwo – bardziej byłam buchalterką Pana Inżyniera Rolnika niż ukochaną niewiastą. On rósł, a ja przy nim trwałam, może też nieco podrosłam, ale zawsze przy nim. Teraz idę od niego w las. Jemu gra żydowska muzyka. Mnie szumi las. Siekiera.

Chaos się płacze, bo i co ma robić chaos? Tak się przyplątał niedawno przyjaciel narzeczonego Witomski. Mieszczuch, co odwiedził Wielorzeckiego, bo mu się oglądania wsi i lasu zachciało – z nudów i z bezbożności. Kiedy wszedł do domu narzeczonego wiedziałam, że będzie miał na mnie ochotę. Owszem, przystojny. Może nie odmówiłabym. Ale siedzieli z narzeczonym pół wieczora wspominając dawne lata i ustalając, gdzie ten Witomski ma mieszkać. Pewnie przyznał się mojemu przyszłemu, że chciałby mnie zaliczyć, ale nic z tego – moje to moje – rzekł hrabia i Witomskiemu rura zmiękła. Słyszałam przez ścianę te piękne rozmowy mężczyzn dzielących skórę na niedźwiedziu w kobiecym ciele, jeszcze nie ubitym.

Ja już jestem ubita. Jak krowa, jak ta nieszczęsna jałówka, medalistka, co ją na zdjęciu podziwiał Witomski, przez chwilę mówiliśmy to samo: Co za rasa! - tylko ja o jałówce na zdjęciu, a on o portrecie babki Wielorzeckiego. Idę przez las i jestem ubita. Ubita w sobie własnym moim chaosem. Nie będzie już porządku. Siekiera. Cios.

Kiedy Witomski przyjechał, nie chciał mieszkać u nas, szukał czegoś na wsi. Owszem, podobał mi się, ale jak tu nie zamieszka – trudno. Chciał poznać życie ludu. Mój narzeczony rozporządził rozsądnie – wysłał go do leśniczówki mojego ojca. Las Witomskiego zamknął w sobie. Uwiódł go mój ojciec – gaduła i alkoholik. Wyobrażam sobie, jak siedzieli wieczorami, stary przywodził przed myśl stare opowieści, swoje zmyślane opowieści, a młody słuchał i zauraczał się coraz bardziej, jeszcze nocne wycieczki w puszcze, li-

sie tropy, wilcze gówna, sarnie skomlenie za drzewem. Znam ojca – urokliwie potrafi sobie przysposobić do wódki kompana, jeśli tylko kompan stawia.

To może wtedy już zaczął się chaos. Zaraz po Witomskim przyszedł Olek. Olek nie przyszedł – wkradł się do domu podstępnie, bo drzwi zostawiłam otwarte, jakbym na niego czekała. A przecież nie czekałam. Już wtedy był bałagan w mojej głowie i nie czekałam na nic. Po ośmiu latach więzienia za kłusownictwo i za zabicie gajowego wchodzi mój pierwszy w życiu mężczyzna, chłopak uroczy i niezdarne, krnąbrny i zapalczywy. Widzę jego pień i moją dziuplę. Widzę nas przed ośmiu laty w lesie, na polanie, pod słońcem grzechu i pod księżycem wyzwania rzuconego światu. Wtedy byliśmy ciałami, teraz koncypujemy, oszukujemy. On chce strzelby. Osiem lat więzienia niczego go nie nauczyło. Dalej chce kłusować, niebaczny na to, że gajowych mir naruszył i że oni uwzięli się na niego i zabiją, gdy tylko okazja się nadarzy. Strzelby mu odmawiam. To narzeczonego strzelba, jakże oddać ją mam temu przybłędzie, kryminaliście, odrzutkowi z wyboru, nieszczęsnemu straceńcowi? Namawia coraz bardziej. Całuje. Usta i dziupla, usta i pień. Chaos. Oddaję mu strzelbę z szafy Wielorzeckiego. Po ośmiu latach jeszcze pamiętam to ciało, te spazmy, te radości pod niebem lasu. Radosne nieuprządkowanie. Szaleńcza przynależność do tego, co pierwszy odwiedził dziuplę grzechu i szczęścia.

Wziął strzelbę i zniknął, choć już myślałam, że narzeczonego znajdzie, bo wrócił z podróży, kiedy Olek był jeszcze w domu. Wtedy się bałam, że się wyda. Że wszystko się wyda, że otworzy się wór z prawdą i wysypią się z niego wszystkie nasze winy i zaniechania, nasze być i nie być, nasze miłostki i miłości, nasza codzienna nicność i wieczna próżność. Nic się nie wysypało. Olek uszedł cało do lasu ze strzelbą mojego szlachetnego narzeczonego, żeby robić wbrew mojemu ojcu kłusownicze wypady w puszcze, Witomski zaszył się leśniczówce gajowego i mnie z głowy sobie wybił ręką lojalności wobec przyjaciela, a tropy w lesie rosły i pęczniały.

W tym chaosie ojciec przychodził czasem po pieniądze na marchorkę i na wódkę. Nieszczęsny dyplomata próbował mi powie-

dzieć, że o Olku, zabójcy gajowego z okolicy sprzed ośmiu lat, wszyscy okoliczni gajowi już wiedzą. Tropią jak psa czy wilka i w końcu dopadną. Nawet gdybym chciała – nie mogłam go ostrzec, ukrywał się i mnie porzucił, tak jak wtedy, kiedy go zamknęli; a czy bym chciała? Nie wiem.

Siekiera. Cios. Znamię na głowie rozrasta się jak szaleństwo. Nie tylko u mnie. Oto narzeczony postanawia wynagrodzić kolegę Witomskiego za to, że zaszył się w lesie i mnie nie tknął. Urządza nasze zaręczyny. My urządzamy nasze zaręczyny, bo wszak kobieta przy wcieleniu w życie planu mężczyzny jest niezbędna. Wielkie to będą zaręczyny. Plan porządny – szkoda że wyszedł z tego tylko chaos i bałagan. A zaczęło się zacnie.

Typy z okolicy charakterystyczne, jak siekiera mocne: szlachciury zapalczywe, chłopcy bogate i zadziorne, proboszczyna, muzykanci żydowscy cudem powołani do zanikającego życia, wódka i nalewki, pierogi i kartacze, kapusta i mięsiwa, napoje i desery, dom przystrojony uroczyście jak na Wielkanoc, choć zima, ciasta na koniec zakryte serwetami, by nie wyschły. Piękne wspomnienia. Kiedy świat nam umykał, kiedy goniliśmy z Wielorzeckim za zyskiem z rolnictwa, za swym zaprzepaszczonym w rozumności narzeczęństwem, za koniunkturą nicości – fajnie było patrzeć na przepych dawny i dawną moc – choćby zanikającą, lecz przez nas pobudzoną. Ja – córka gajowego, skromna osoba, zaszczute dziewczę – a jednak pani domu, narzeczona hrabiego, zaręczyny, jakich od wielu, wielu lat nikt we wsi nie widział. Czy to był porządek?

Nie. To była kolejna odłona chaosu. Pień, w który wbito siekierę, aby chwilowo odpoczęła przed ostatecznym zadaniem ciosu mojej głowie.

Niosę swoją głowę przez las. Idę przez las pijana od słów. To nie moje słowa. Gdzieś podobno kiedyś mnie w jakiejś sztuce teatralnej opisano. To nic, to tylko słowa. Pijana od słów zataczam się po lesie, po śniegu, pod sosnami prostymi jak mój narzeczony, pod wygiętymi w pałak bukami kruchymi jak mój pierwszy Olek, pod ułomną jarzębiną obrzędów, pod dębami, co opróżnione już są z tradycji. Las. Chaos. Siekiera. Pijani od słów.

Jeszcze chwilę temu trwała wspaniała impreza. Zjechali wszyscy, których znałam. Wielu ich, a tak mało znaczą. Jeden tylko wychylił się ponad niebyt – wuj narzeczonego, anarchista, czerwony hrabia, reneгат i wichrzyciel, bezużyteczny teraz przywódca biedoty, co już sama się broni, jeszcze z resztkami majątku rozrzucający plamy zbędnego bogactwa po zgłodniałym świecie. Skuł mnie bransoletą z czerwonym oczkiem jak kajdankami i rzekł, że czerwony to jego ulubiony kolor. Wielka to była bransoleta i ciężka, a oczko kamienne, szlachetne, czerwone – równie wielkie. Ot – fanaberia czerwonego hrabiego, na moim ręku złożona. Niosę ją ze sobą w las, idąc. Bransoleta, siekiera, chaos. I zgiełk.

Wśród zgiełku muzyki Żyda Mendla i jego wnuczki skrzypaczki roznoszą biesiadnikom jadło i napoje, wraz z wynajętą pokojówką, na tacach. Ręce nam drżą pod ciężarem dobytku, rozdawanego w chętnie gardła. Radość się szerzy – wszak to zaręczyny, moje zaręczyny, z hrabią. Wszyscy kontenci, że hrabianka przysłała taka ludowi przymilna, tak urocza, pogada z każdym, każdego pochwali, każemy przytaknie. Tak, przytaknę, pocieszę, przytulę. Wszak to tylko chwila przed wybuchem chaosu.

Chaos właściwy wchodzi wraz z moim ojcem, gajowym. Opowieść ojca w głowie mojej obraca się jak wbita weń siekiera. Idziemy przez las. I on szedł przez las. Pijani od słów. I on teraz pijany od słów, bo polując na Olka, mszcząc zabitego osiem lat temu kolegę gajowego, tylko słowami jest teraz pijany. Dopadli, ustrzelili. Kłusownik strzelał do gajowych ze śrutówki, co mu ją niedawno dałam, ale nie dał rady. Padł. Ojciec, ciągle pijany od słów, choć trzeźwy wyjątkowo, chełpi się potencjalnym zabójstwem. Schwyciłam ojca za poły kożucha i pytam twarzą przy twarzy, ze wzrokiem dzikim i jego, i moim; żyje? Ojciec ponuro: jeszcze dysze, a doktor się z nim cacka w gajówce. Rzeczywistość. Tu się kończy. I urywa się wątek realnego świata.

Potem tylko biegnę ku ścianie ciemnego lasu po chrupiącym pod butami śniegu. Koniec wsi i siekiera – idziemy przez las. Głowa pod drzewami. Głowa pod siekierą. Trzeba ją ściąć, bo dojrzała. Trzeba ją odjąć od ciała, bo osłabła, a póki głowa słaba, ciało mdłe. Ciało.

Olek, pień i dziupła. Polana w lesie i to, co było miłością. Wielorzeczki i miłość rozumna. Witomski i życie ludu. Gorzałka w kieliszku przed spragnionymi ustami ojca. Zima. Śnieg. Sanie. Konie zaprzęgać, jedziemy! A dokąd, panie? Jaki Panie, chamie, nie ma już panów. Jam inżynier – rolnik, a nie magnat jakiś. Tylko tęsknota przebija przez granicę lasu ze wsią. Nie bierz poważnie tej tęsknoty, kochanie. Zrobimy zaręczyny. Jakich nikt tu od lat nie widział. To taka przyjemność dla Witomskiego, że cię nie podrywał. Będą wszyscy. Sprosimy wielu. Będzie jak dawniej. Przypomnimy sobie lata świetności. Żydzi zagrają po swojemu ku naszej uciechu. Będzie pięknie.

Moja głowa. Moja siekiera. Idziemy przez las. Wszyscy idziemy przez las. Ja jestem Anna, córka gajowego, narzeczona hrabiego Wielorzeckiego, wykształcona buchalterka wiejskiego przedsiębiorstwa, doświadczona młodociana kochanka kłusownika Olka, odznaczona kajdankami bransoletki przez czerwonego hrabiego. Wszyscy idziemy przez las. Kim wy jesteście?

Kim byście nie byli, wiedźcie, że mój narzeczony też zawładnął chaosem, bo nie wypada przecież mi powiedzieć, że to chaos nim zawładnął. Kiedy zbiegłam z zaręczyn ku lasowi wrócił do sali, gdzie dawano wódkę i jadło, po czym zakrzyknął: nalewać! Więc nalano. Po czym zakrzyknął: pić! Więc pito.

Czy przyszedł do niego las? Nie wiem. Ja za to idę przez las. Ja, siekiera, ja, kobieta.



ISBN 978-83-963109-0-3
Stowarzyszenie „Zegrzynek Szaniawskiego”
Legionowo, 2021

Mazowsze.
serce Polski

Druk wersji papierowej sfinansowano ze środków
Samorządu Województwa Mazowieckiego
w ramach projektu „Szaniawski – (na) skróty do Zegrzynka”

za'KS
sprzyjamy wyobraźni

Partner projektu: Stowarzyszenie Autorów ZAIKS